

## K R A S N O D O N 1 9 4 5

Nazywam się Janina Nuckowska, moje nazwisko panieńskie Niemożynowska. Urodziłam się w 1923 r. we Lwowie w rodzinie inteligenckiej. Ojciec był urzędnikiem kolejowym, potem prowadził szkołę tańców "Sten" i przedsiębiorstwo fotograficzne. W 1939 r. zdałam we Lwowie małą maturę /właściwie byłam z niej zwolniona/ w Państwowym Gimnazjum Żeńskim im. A. Asnyka we Lwowie. Dużą maturę zdałam już pod okupacją radziecką w 1941 r., na kilka dni przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej.

W 1939 r. na ogół spodziewano się wojny, szczególnie po expoście ministra Becka. Pamiętam mobilizację. Pamiętam pożegnanie naszych wojsk, m.in. tak mi bliskiego 19 Pułku Piechoty Obrony Lwowa, który stacjonował na Cytadeli, tuż koło kamienicy, w której mieszkaliśmy. Okrzyki "Marsz, marsz na Berlin!" brzmiały mi ciągle w uszach. W czasie kampanii wrześniowej przyjmowaliśmy serdecznie uchodźców z zachodniej Polski. Przerwało jednak tempo, z jakim Niemcy szli naprzód. Wszyscy wierzyli, że Lwów się obroni. Broniły go po bohateracku pułki Armii Kraków. Miastoty, dostaliśmy sztych w plecy. Ponieważ z ZSRR nie znajdowaliśmy się w stanie wojny, generał Langner nie walczył z nimi. Podczas gdy budowaliśmy już na ulicach barykady, Niemcy wycofali się, a do Lwowa weszły wojska radzieckie. Polecy witali je zamkniętymi oknami. Witali ich za to czoloobitnie Ukraińcy i część Żydów.

Pierwsze aresztowania zaczęły się już we wrześniu i październiku 1939 r. Mojego wuję aresztowali w październiku, sąsiada, posterunkowego policji również i wielu innych.

Otwarte szkoły, moje gimnazjum też pod nazwą XIX Szkoły Średniej. Z grona nauczycielskiego usunięto księdza, po jakimś czasie przełożoną, podjeżdżano krzyże i orły ze ścian. Zaczęły się mityngi, na których, operując mnóstwem tanich frazesów, wmawiali nam, że nas uratowali przed Niemcami, że jako obywatele ZSRR będziemy w raju szczęśliwości. A równocześnie zaczęto wywozić. Najpierw właścicieli fabryk, ludzi bogatych, bez względu na narodowość. Żydów, których rzekomo tak bronili, również. Najlepszy dowód to wywiezienie z rodzicami mojej koleżanki z klasy, Żydówki, Ireny Halpern, nota

bane osoby ciężko chorej po Hains-Medina.

Nie wszyscy Ukraińcy przechodzili na stronę Sowietów, to nie było powszechne, bo przecież byli też Ukraińcy nacjonalści, którzy nienawidzili ich tak samo jak nas i czekali na Niemców. I byli też inni. Miałam koleżankę Lenę Natyssek, była w wyższej klasie /o dwa lata/, córką księdza grecko-katolickiego. Ona była po naszej stronie. W Polsce Ukraińcom nie było źle, mieli swoje szkoły, gimnazja z językiem wykładowym ukraińskim, mieli związki oświatowe, spółdzielnie nieczarckie, nawet fabryczki we Lwowie. Na wsi przeważali liczebnie, ale we Lwowie nie, to było polskie miasto. Ukraińcy mieli wstęp na polskie uczelnie. Co prawda uważam, że nasz rząd popełnił błąd nie dając im autonomii, którą mieli np. Ślązacy w województwie katowickim.

Muszę powiedzieć, że w szkole staraliśmy się walczyć - o polskość, o religię, o przetrwanie. Oni głosili równość wszystkich narodowości, a równocześnie ograniczyli nam liczbę godzin języka polskiego do dwóch godzin tygodniowo, a dodali sześć godzin języka ukraińskiego, a w klasie maturalnej jeszcze sześć godzin rosyjskiego. Głosili wolność religii, a zabronili nam modlitwy przed lekcjami. Tego zresztą nie usłuchaliśmy i modliliśmy się codziennie, jedna zawsze stała na straży. Polskiego uczyli nas z radzieckiego podręcznika. Zamiast Mickiewicza, Szewalskiego, Norwida musieliśmy czytać marne powieści Wandy Wasilawskiej, którą we Lwowie wszyscy uważali za udrajczynię, nie dlatego, że miała poglądy lewicowe, o tym wszyscy wiedzieli, ale za jej postawę wobec Polaków proszących o interwencję w sprawie uwięzionych i wywiezionych. A przecież nawet ludzie poglądów komunistycznych - jak żona jednego z moich krewnych - byli wstrząśnięci faktem, że wywołano kałeki, starców, dzieci chore na dyfterię .....

Pewnego razu wezwano nas, wszystkie uczennice starszych klas, na miting do kina "Apollo". Otworzył zebranie student UJK, Wójcicki, Polak-komunista, który zaczął w niesłychany sposób plus na wszystko, w nas było drogie, na Polskę przedwojenną, na kościół, na naszych wielkich ludzi, jak Piłsudski, Paderewski, Witos, Dąbowski, Korianty, a nawet - socjalista przecież - Daszyński. Nie mogliśmy tego spokojnie słuchać. On roztaczał przed nami wizję promiennego losu, bo

odtąd nie musimy słuchać ani rodziców, ani księży, ani nauczycieli - tylko samych siebie i ... władzy radzieckiej ... Prymitywna argumentacja, fałszowanie oczywistych faktów i nade wszystko obrażanie naszych świętości sprawiły, że nasza młoda krew zawrzała. Mieliliśmy po 16-18 lat. Zaczęliśmy protestować. Kilku z nas, ja między innymi, powiedziało im, co o tym sądzimy; upominałam się o większą liczbę godzin polskiego, o krzyże w klasach. Polonistka, p. dr Fryderyka Jarzębińska, bojąc się o nas, ciągnęła mnie za spódnicę, że mało mi fekd nie wyrwała, ale to nie nie pomogło. Trzej kom-somolcy zaczęli śpiewać międzynarodówkę, a my ich zagłuszaliśmy naszym "Boże! coś Polskę". Było nas z kilku gimnazjów około półtora tysiąca a ich trzech. Ale kiedy wychodziliśmy z kina, spojrzaliśmy na balkon - stały tam gęsto karabiny maszynowe. Nie odważyli się jednak strzelać.

Potem kazali nam w Boże Narodzenie przyjść do szkoły. Wtedy obeszłam wszystkie, szczególnie młodsze, klasy. Zapowiedziałam, żeby nikt nie ważył się przyjść w święta do szkoły, bo będzie traktowany przez nas jak kom-somolki /było ich w całej szkole trzy, nie, cztery: trzy Polki i jedna Żydówka/. Nikt nie przyszedł, ale władze szkolne radzieckie zrozumiały to właściwie i na Wielkanoc "ferie wiosenne" zgodzały się co do dnia z Wielkim Tygodniem.

Pewnego razu ktoś mi na ulicy włożył kartkę do ręki: "Ojcowie Dominikanie zapraszają młodzież szkół średnich na niedzielne msze św. z kazaniem - nauką religii." Były to i nabożeństwa i kazania patriotyczne. Wygłaszali je: O. Anzelm Jesierski, ks. Marian Rechowicz, późniejszy biskup Lubaczowa, nasz katecheta, ks. dr Stanisław Bizuś i jeszcze jeden Dominikanin.

Staraliśmy się robić, co się dało, aby podtrzymać ducha w młodzieży. 22 listopada 1940 r. urządzono na cmentarzu Obrońców Lwowa wielką manifestację. Groby i pomniki były przybrane flagami, kwiatami i lampionami, nadesłanymi przez wszystkie większe miasta Polski. Pomniki lotników amerykańskich i francuskich przybrane były flagami tych państw. Jakiś ksiądz prowadził modlitwy nad Grobem Nieznanego Żołnierza. Potem śpiewaliśmy hymny: "Jeszcze Polska nie zginęła", "Pierwszą Brygadę", "Boże coś Polskę", "Hymn Młodych". Nie było różnic.

Nie było endeków, ani zwolenników sanacji czy majjalistów, to się nie liczyło, byli Polacy. Chłopcy zaczęli krzyczeć, że nie ustaniemy w walce o wolną Polskę. Nagle usłyszeliśmy: "Stoj!" - Wtedy mój kolega, Marian Hreczkowski, rodem z Tarnopola, nota bene Harcerz Rzeczypospolitej, przytomnie chwycił mnie i moją siostrę pod ręce i zwołał resztę naszej paczki i kazał się wycofać. Poszliśmy aż na górę przez cmentarz powstańców 1853 i 1831 roku, potem przez mur i kołując doszliśmy do domów. Dzięki temu ocalailiśmy. Chłopcy, którzy pochowali się w krzakach i po grobowcach, zostali aresztowani i wywiezieni. NKWD zastakowało. Tego było za wiele dla nich.

Ja od września 1939 roku zostałam wciągnięta do tajnej organizacji, oczywiście skierowanej przeciwko Niemcom. Przez referaty i pogadanki starałyśmy się utrzymać dziewczęta w atmosferze optymistycznego patriotyzmu. Była tak ścisła konspiracja, że nie wiem właściwie, czy była to organizacja harcerska. Profesor Jerzy Węgierski, który bada te sprawy, uważa, że to była organizacja harcerska. Ja przed wojną nie należałam do harcerstwa. Ta konspiracyjna organizacja miała nazwę "Organizacja Narodowa". Żyje jeszcze i mieszka wrocławiu moja bezpośrednia zwierzchnicza organizacyjna, ale nie ma upoważnienia i nie będę mówiła nazwiska. Na czym polegała nasza działalność? Trochę mi się to nie podobało, bo wciągało się i narażało młodsze koleżanki, ot, po to tylko, aby ubierały cierniowymi wiankami groby żołnierskie. Po co to komu było potrzebne? Żywi byli ważniejsi. Ale opiekowałyśmy się też żywymi: żołnierzami rannymi leżącymi w szpitalach, którym groziły represje ze strony Ruskich, a którzy pochodzili z zachodniej Polski, zza zielonej granicy, gdzie byli przeciw Niemcy, o wiele od Ruskich groźniejsi.

Ja z moją przyjaciółką Marią /Lalą/ Krzyżanowską dostałyśmy "przydział" do IV Kliniki Chirurgicznej przy ul. Pijarów 4, prowadzonej przez prof. dr Ostrowskiego, potem zamordowanego przez Niemców. Profesor trzymał tych żołnierzy jak mógł najdłużej. My przychodziłyśmy jako pielęgniarki, w białych fartuchach. Nasza pomoc polegała na przynoszeniu owoców, masła, ciasta, ale także bielizny i po trochę garderoby cywilnej, zbieranej u krewnych i znajomych. Powoli otrzymywali fałszywe dokumenty.

Urządziliśmy naszym biedakom choinkę i wigilię z opłatkiem. Powoli wszyscy zostali przeprowadzeni przez sieloną granicę. Chyba z wyjątkiem jednego, który leżał w łóżku gipsowym, bo odłamak granatu uszkodził mu kręgosłup. Ale, czy wszyscy dotarli do rodzin, czy może niektórzy zdrowsi poszli do partyzantki lub dotarli do armii polskiej na Zachodzie? Nie wiem.

W tym czasie wywieziono kilka moich koleżanek z klasy: Irenę Żmudzińską /obecnie w Londynie/, wspomnianą Irenę Halpern i Janinę Pagaśównę, córkę przewodnika Policji Państwowej. Ta ostatnia napisała do mnie list z Kazachstanu. Wysyłałyśmy im paczki, lecz tylko jedna dotarła, resztę widocznie podkradli ruscy pocztowcy. Wysyłałyśmy też długie listy z przepisywanymi po nocach fragmentami dzieł Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida - ku pokrzepieniu serc. Janina Pagaś wróciła i jestem z nią w kontakcie. Wróciła również Irena Halpern.

W międzyczasie Ruscy przysłali po mego ojca, który był kiedyś naczelnikiem personalnym na dworcu głównym w Lwowie. Na szczęście urzędnicy i pracownicy PKP zaświadczyli, że ojciec był ludaki, starał się ograniczać redukcje, uwzględniał sytuację rodzinną itp. - i to ojca ocaliło. Gdyby nie to, wywieźliby go tak samo jak innych naczelników. Ale i tak pod koniec czerwca 1944 r. byliśmy już na liście na wywóz. Wisła to od dozorcowej. Na szczęście na skutek wojny niemiecko-rosyjskiej wywiezienie zostało odcaszędzone memu ojcu - jeśli można nazwać to szczęściem. Bo weszli Niemcy, śmiertelny wróg. Niemniej każda zmiana była wybawieniem przynajmniej cywilowym. Jak zobaczyłam pierwszy niemiecki motocykl wjeżdżający na Cytadellę, dziękowałam Bogu. Bo pod koniec pobytu kaskich, gdy Niemcy już się zbliżali, Rosjanie wpadli w szal i zaczęli stosować terror. Strzelali do małych dzieci jak do wróbli, sama to widziałam; po ulicach jeździły wozy pancernie z karabinami maszynowymi wymierzonymi w przechodzących ludzi i w okna.

Potem była okupacja niemiecka. Wiadomo jak to było. Nasza komendantka wycofała siebie i nas z organizacji, bo bała się Niemców. Ale ja znalazłam drogę do Armii Krajowej i zostałam powtórnie zaprzysiężona. Zanis doszło do akcji "Burza", mój ojciec umarł na któryś kolejny zawał serca.

Wiosną 1944 r. mój bezpośredni zwierzchnik Jur o pseudonimie "Arzeski" przyniósł mi pistolet 6,35 tzw. "piątkę" i dwa magazynki. Powiedział, że istnieje niebezpieczeństwo, że historia się powtórzy i Niemcy wydadzą miasto Ukraincom, a Armia Krajowa, jej oddziały bojowe idą do lasu. - "Paru ich sdołasz zabić, dwa ostatnie naboje dla ciebie i mamy." No, ale nie doszło do tego. Rosjanie byli już blisko. Niemcy uciekali, ewakuowali urzędy. Kiedy Rosjanie zblżyli się do Lwowa, nastąpiło we Lwowie - tak samo jak w Wilnie - powstanie. Moi zwierzchnicy w ramach "ochrony jedynaków" zapowiedzieli, że ja nie zdekonspiruję się i nie pójdę do powstania. Myślałam, że oszaleję. Czekałam na to tyle lat! Poszłam do mego kolegi mieszkającego przy ul. Suptńskiego 3, Jerzego Sochanika /obecnie w Katowicach/ i poprosiłam go o prądział. Otrzymałam w ciągu 24 godzin i poszłam ze szym oddziałem na placówkę przy ul. Dąbrowskiego, gdzie komendantem był kapitan Edward. Byłam łączniczką wykonywałam polecenia kapitana, i - jak to baby - przygotowywałam im herbatę. A chłopcy się bili. To oddziały AK wyzwoliły Lwów od Niemców, pobrali ich wielu do niewoli. Jak oddziały radzieckie wkraczały, to broniły się już tylko niemieckie niedobitki. Nasi chłopcy wywiesili na rżuszu wszystkie flagi sprzymierzonych: angielską, francuską, polską, amerykańską i radziecką, ale "bojcy" weszli i zdjęli wszystkie, pozostawiając tylko swoją czerwoną.

Byłam świadkiem, bo mnie komendant specjalnie prosił na świadka, jak do naszej placówki przysali pułkownik i major radziecki z kilkoma żołnierzami. Kapitan Edward zameldował im, jaki jest stan ludzi i uzbrojenia i zgłosił gotowość oddziału do służby. Wtedy jeden z nich powiedział: "Da, charasno, arużyje zdat", a wy pajdotła pochoronit' Germanicow." - i wyszli, zapowiadając, że jeszcze tu wrócą. Wtedy Edward kazał nam zlikwidować punkt, żywność i koce rozdać ludności, broń chłopcy mieli pochować w wiadomych sobie miejscach. Wykonałam ten rozkaz ze Stefanem. Potem Edward dał mi jeszcze dwa ostatnie polecenia: najpierw miałam zawiadomić Zygmunta z ul. Kadeckiej, że Edward idzie do Rusków na odprawę przy ul. Zielonej; a potem o tym samym powiadomić jego /Edwarda/ żonę przy ul. Potockiego. Zygmunt powiedział mi, że wietrzy jakiś podstęp Rosjan i nie pójdzie na tę odprawę, lecz się schowa i Edwardowi radzi to samo.

Żona Edwarda była bardzo przestraszona, powtórzyła jej słowa męża i od siebie doradziła, żeby nie spała w domu. Edwarda też błagała, żeby nie szedł, ale on się uparł. Nikt nie wie, co się z nim stało. Albo go wywieźli, albo zabili we Lwowie, może nawet zginął jak inni przedtem w Katyniu, ale ja nie znam jego nazwiska.

W jakiś czas potem mamy "gości" w mieszkaniu. NKWD. Towarzysze Mendelewicz i Czangil /pierwszy to filolog klasyczny z Kijowa, drugi Gruzja/ dokonali rewizji. A w jednej z szafek bocznych kredensu, pod stosem ozdób choinkowych spoczywała moja "piąteczka" - pistolecik kalibru 6,35 i te dwa magazynki. Mendelewicz otworzył drzwiczki tej właśnie szafki i pochyliwszy się zaczął oglądać te ozdoby ... Ścierpłam. Ale on miał łapy niezgrabne i zgniół w nich debanuszek z wydmuszki jajka, takie sacho kupione kiedyś na wystawie sztuki stosowanej. Udałam wielkie smutwienie: - "Nu i chto-że wy ediełali w samem dziele? o to krasiwaje!" - jęknęłam. Uśmiechnął się, powiedział do mnie: - "Wot, rebionek." - i zamknął szarannie drzwiczki. Odetchnęłam. Znalezienie broni kosztowałoby mnie na pewno 10 lat "tymny". Natomiast towarzysz Czangil zainteresował się, dlaczego w szafie są ubrania męskie? Wydawało mu się to wysoce podejrzane. Na szczęście miałyśmy akt zgonu ojca. Czangil dziwił się, że ubrania jeszcze nie sprzedane, a wreszcie wyjawiał, że jedno z ubrań bardzo mu się podoba i wyraził chęć kupna. Do tego sobie dobrał jeszcze odpowiedni krawat i koszulę, kasał sobie zapakować i zapłacił jakąś śmieszoną sumę . . . Niezwykle taktowny facet, przyjechał nazajutro do nas "prywatnie" w garniturze ojca. Zaczął nam pokazywać fotografie swoich rodziców, widoki Suchumi, zachwalać tamtejszy klimat i krajobraz, wreszcie oszajnił mojej mamie, że pragnie ożenić się z nią i zabrać nas obie do Gruzji ... Po jakiejś chwili tłumaczenia, że ja nie chcę w ogóle iść za męża, ponieważ chcę się poświęcić pracy naukowej, odegrałam atak sercowy z taką maestrią, że nawet moja mamusia dała się nabrać. Co prawda byłam tak przerażona perspektywą tego mariażu, że nawet nie musiałam zbyteńsko udawać, że mi słabo. Na szczęście Czangil się wycofał, bo po co mu żona skoro ma serce. Przez długi czas byłam inwigilowana, zaczęli ze mną łazić.

Musieli mieć o mnie nie tyle konkretne informacje, co może inasymilacje od ukraińskiej dozorcowej z ul. Mochnackiego, u której moja mama kupowała czasem jajka. Prosta kobieta, ale oni korzystali z każdej, nawet błędnej informacji, byle aresztować i zająć. Np. moja towarzyszą niedoli z Donbasu, zamieszkała we Wrocławiu, p. Romana Gruber-Zychowa została aresztowana na skutek donosu jakiegoś oficera NKWD, ponieważ w dniu 1 maja wyprowadziła na spacer pieska z czerwoną kokardką!

Późną jesienią podszedł do mnie facet /za samą głowę zasługiwał na 10 lat sztyki/ i zapytał mnie: - "Proszę pani, czy pani zna adres pana Bartka?" - "Jakiego pana Bartka?" - spytałem, chociaż natychmiast sorientowałem się, że pseudonim "Bartek" miał ktoś wysoko postawiony w hierarchii organizacyjnej. - "Przecież pani była w oddziałach bojowych, widziałam panią z opaską." - "Coś się pani pomyliło." - powiedziałam i poszłam do domu. Zaczęłam palić jakieś biuletyny i moje wiersze bardziej patriotyczne. Śmiałam się w duchu, że ten dureń, którego widziałam po raz pierwszy w życiu, uważał, że "mogę mieć do niego całkowite zaufanie".

W zime zaczęły się masowe aresztowania. Boże Narodzenie jeszcze jakoś przeżyliśmy. Wcześniej zapisałam się na uniwersytet, bo utworzyli także polski oddział każdego wydziału. Ale Ukraińcy robili nam na złość. Np. zabrali nam wszystkie stołki, m.in. krzesło prof. Czernego, naszego wykładowcy. Mimo perswazji profesora poszliśmy do ich sali odbierać te stołki, bo każde z nich siedziało na dwóch stołkach. No i pobiliśmy się z nimi tymi stołkami oraz butelkami wódki, bo właśnie w tym dniu rozdano deputat dla uczącej się młodzieży - nie chleb ani masło, ale właśnie wódkę. Mnie przed ciosem butelką w głowę uchronił szkolny kolega, Stanisław Czuruk, zasłonił ławką i wyprowadził z sali.

Dnia 9 stycznia 1945 r., w same urodziny mojej mamy, walenie kolbami w drzwi. Była godzina 21-sza. Bardzo "elegancko" się zachowali. Zastęдали dokumentów, a także wódki. Jeden usiadł do fortepianu i zaczął walić pięściami i łokciami w klawiaturę, drugi zrywał obrasy ze ściany, trzeci zaczął przeglądać przepiękny album muzeum luksemburskiego z Paryża i ze słowami "Eto pornografial!!!" zaczął drzeć ilustracje, bo tam był akt kobiecy ... - "Sobirajtiesia!" - "Na jak długo?" - spytałem. Powiedzieli, że na 24 godziny.



Zaczęłam pakować trochę niezbędnych rzeczy, ręczniki, mydło. Dozorczowa chciała nam robić kolację, ale nie mogłam nic przekonać. Mamusia była kompletnie załamana i prawie półprytmna. Przedtem jeszcze dozorcowa, p. Borysowa, chciała mnie ratować i proponowała, żebym nieszacownie wyszła do niej, a ona wyniesie mi płaszcz i torbkę, ale odmówiłam, bo czyż mogłam opuścić mamusię? Poczołwa Borysowa jeszcze usiłowała coś tam mówić w mojej obronie, ale kazali jej być cicho. Schodzimy. Chciałam mamusię wziąć pod rękę, bo było ślisko, ale mi nie pozwolili. Przechodząc koło nowego gmachu UJK mamusia pośliznęła się i upadła. Wrzasnąłam do nich wściekłość: - "Podnieś ją i prowadź pod rękę, ty draniu!" - poskutkowało natychmiast. Kiewolnicza mentalność. Krzyk robił na nich wrażenie. Doprowadzili nas do aresztu śledczego przy ul. Jachowicza. Spotkaliśmy tam mnóstwo znajomych. Po prostu zabierali polską inteligencję, aby Stalin mógł udowodnić, że we Lwowie nie ma Polaków. Zabierali, co prawda, nie tylko inteligencję. Zabierali prostych ludzi, Bogu ducha winnych, bo my chociaż osądzeni o polityczną opozycję /i szlachetnie/ mogliśmy dla nich być niebezpieczni, ale szewc czy dozorca?

W pewnym momencie rozległ się w tej zbiorowej tymczasowej celi straszny krzyk. Wody odchodziły rodzającej, zabranej przez nadgorliwych funkcjonariuszy prosto z pod drzwi kliniki położniczej. Znowu wpadłam w wściekłość i zaczęłam walić - teraz ja - pięściami w drzwi. Przybiegł z krzykiem i przekleństwami strażnik, ale teraz ja miałam głośniejszy głos od niego. Zażądałam natychmiastowego sprowadzenia karetki pogotowia i odwiezienia rodzającej do szpitala, bo będą mieli na sumieniu dwa życia. - "Jeżeli tego nie zrobicie natychmiast, to ja się odwołam do samego Stalina!" - To było magiczne słowo, oni się go tak panicznie bali, że reagowali prawie automatycznie. Spełnili wszystko i ta kobieta odjechała do szpitala.

W więzieniu we Lwowie zamknęli mnie i matkę. W celi nie większej jak 3 x 5 metrów gnieździło się sto osób. W naszej celi były wanny, bo widocznie z powodu nadmiernej liczby aresztowanych - łazienkę zamienili na celę. Na szczęście jedna wanna była czynna, więc miałyśmy wodę i możliwości mycia się. Druga była nieczynna, w niej ja z moją przyjaciółką, Marią /Lala/ Krzyżanowską wymościłyśmy dla naszych mam łogowisko z koców i tam nasze matki spały, a my na zmianę w wąskiej cel-

browinie. Zapewniam, że nie było to wygodne, ale i tego nam zaszkodziły te, które musiały spać skulone na podłodze.

Panował brutalny zwyczaj rozdzielania rodzin. P. Krzyżanowką i moją mamę zabrali do innego więzienia, na Zamarsztynów. Lale wykupili jej dziadkowie, wyszła na wolność. Zostałam sama. Jeśli to tak można określić.

Teraz o jedzeniu. Przy ul. Jachowicza nie dawali nic. Nasze rodziny podawały nam jedzenie, a strażnicy pod pretekstem szukania alkoholu wypijali połowę supy czy herbaty. Czasem docierały kanapki, w ogóle jakieś pożywienie. Natomiast plecak z odzieżą i bielizną, który dla nas przekazała zaprzyjaźniona sąsiadka, p. Pazonkowa, nigdy do nas nie dotarł. Kradli jak kraki. A i w celi współwięźniarki też były różne, okradły nas z bielizny.

Jak nas traktowali? Nas nie bili, ale z innych cel słyszałyśmy odgłosy rasów i krzyki, jęki. Jak mnie zabrali na przesłuchanie, to cała cela modliła się za mnie. Tymczasem mogło mnie spotkać coś - moim zdaniem - znacznie gorszego. Po przesłuchaniu jeden ze śledczych sacnął mnie w ciemny kąt i zaczął robić mi propozycje, obiecując nawet zwolnienie z aresztu. W odpowiedzi zaczęłam się głośno modlić. Nadziedzł ktoś i on mnie puścił i kazał odprowadzić do celi, z komentarzem: - "Wot, dura."

Kiedy przywieźli mnie do obozu przy ul. Pełtewnej, spotkałam tam matkę. Była strasznie głodna. Na szczęście miałam jeszcze chleb z mięsem z paczki od ciotki i mogłam jej dać. W tym obozie przy ul. Pełtewnej dawali supę z łupin buraków, takich nie obmytych z ziemi. To było nie do sędzenia. Pełtewna - to był obóz polonijny, który Russy wykorzystywali. Już to samo świadczy jak reżimy totalitarne, bez względu na hasła, które głoszą, są do siebie podobne.

Pewnego razu zobaczyłam z okna tłum, idący pod konwojem, między innymi - jakimś cudem - zobaczyłam moją mamusię. Szła z opuszczoną głową, dźwigając przed sobą jakiś toreb, podany jej przez ciotkę. Mój konwój za to prowadził nas w nocy. Dopiero w Krasnodonie, kiedy spotkałam się z mamusią, dowiedziałam się dlaczego? Bo jak szedł konwój mamy, to nasz biedny Lwów, stłamszony, sterroryzowany, zdobył się jeinaż na publiczny protest! Tłumy oblegały idących, chociaż konwojenci grozili

bronią, nawet bili kolbami, ludzie nie tylko podawali aresztantom co mogli, chleb, odzież itp., ale krzyczeli, wygrałali, płakali, podobno nawet rosyjskie kobiety patrząc na to płakały. Więc nas już prowadzili nocą. Miałam wtedy okazję ucieczki, bo mi się obcas wkręcił w szynę tramwajową, nikt tego nie zauważył, ostatni strażnik zniknął za rogiem ulicy, ale znowu chodziło mi o to, aby połączyć się z mamusią. Nie miałam żadnej pewności, że się tam odnajdziemy, ale nie mogłam przecież uciec i ją zostawić na pastwę losu. Więc dogoniłam konwój.

Szłałam z nami do bydłych wagonów. W kącie wagonu "parasza", czyli kubeł pełniący rolę ubikacji, poza tym nic, tylko goła podłoga i znowu setka kobiet ścisnionych do ostatnich granic. Na każdym, rzadkim zresztą postoju wysiadałam i biegłam z wiadrem po śnieg, który po wytopieniu stanowił jedyne źródło wody. Poza tym wrzucili nam raz solone śledzie. Pani Kulczyńska pisze, że dawali chleb, do mnie nigdy nie dotarł żaden kawałek. Miałam swój cel, kiedy tak chodziłam po wodę. Biegłam od wagonu do wagonu wołając naswiako mamy, ale nigdy nie udało mi się trafić na jej wagon, a bałam się, żeby pociąg nagle nie odjechał, w śnieżnym pustkowiu mogłabym zamarznąć na śmierć. Nasze wagony oczywiście nie były opalane, ale grzały nas wzajemnie nasze ciała. Zaczęli nam zresztą pozwalać schodzić na postojach dopiero za Zbruczem, za naszą dawną granicą. Już wtedy wiedzieliśmy, że niektórzy pomierali w wagonach. Konwojenci ciągle walili kolbami w ściany i dach wagonów, by zbadać, czy nie ma oblużonych desek, żeby kto nie uciekł. Rzeczywiście stwierdzili to w jednym z wagonów męskich, wpadli, zaczęli bić kolbami. Zbyszek Burcuś tak zbili, że po przyjeździe zmarł jako pierwszy z przywiezionych. On podobno bronił się - nie wolno było brnąć się przed ciosami. Myśmy się zorientowały po słodcu i innych oznakach, że nas nie wiozą na Syberię, tylko na Ukrainę.

Był to kraniec Ukrainy, oddalony 300 km od morza Azowskiego. Miasteczko Krasnodon położone jest niedaleko od Wołoszyłowgradu. Za miastem na stepie był łagier. Nie było szczęśliwszej osoby ode mnie, gdy zobaczyłam mamę. Ja sama w drodze, gdyby nie p. Kulczyńska, która podzieliła się ze mną ostatkiem swego chleba i herbaty, umarłabym z głodu.

Dostałam głodowej gorączki, już majaczyłam, ale pomoc pani Marii doprowadziła mnie do przytomności.

Dojechaliśmy. Miałam 22 lata, w cztery dni po przyjeździe przypadły moje urodziny. W tym wieku można wszystko lub prawie wszystko wytrzymać.

Lagier składał się z obszernego majdanu i dwóch budynków - dla kobiet i mężczyzn. Z wierschu budynek był biało otynkowany, miał po sześć kolumn doryckich - fasada jak świątyni greckiej - a wewnątrz nędzny barak i cele z narami z desek, po półtorej deski na osobę. Ale było centralne ogrzewanie.

U bramy Zagru czekał na nas naczelnik Kowalenko, zdegradowany z admirała czerwonej floty do rangi kapitana, oraz inspektor pracy, bardzo przystojny, ale - jak się potem przekonaliśmy - Łajdak. Popatrzyłam na naczelnika Kowalenkę z niechęcią, a on powiedział: - "Wot, bieżoruczka! Wy przyjechaliście rejonkom, a wiernoteś czeławikom." - Przekonałam się potem, że miał rację. Tam nauczyłam się, że nie intelekt jest w człowieku najważniejszy, tylko ludzkie serce. Była tam starsza pani, bardzo pobożna i prawie arystokratka, która donosiła na nas Rosjanom. Ale była też młoda, prywatywna prostytutka, która się mną po wypadku w kopalni i po wyjściu ze szpitala opiekowała. Ten naczelnik był porządnym człowiekiem. Kiedy wychodziłam na wolność, podałam mu rękę i powiedziałam: - "Dziękuję wam, że byliście dla nas ludzcy i nie tacy, jacy moglibyście być z racji pełnionej funkcji." - Wszystkich innych traktowaliśmy jak powietrze i staraliśmy się do nich nie mówić po rosyjsku.

Naczyń nie było, jedzenie podawali nam w puszkach po amerykańskich konserwach. Gdyby nie amerykańskie konserwy, to ani oni ani my nie mielibyśmy co jeść. Nas było w tym obozie 1700, 1000 mężczyzn i około 700 kobiet. Sama słyszałam, jak inspektor pracy kłócił się z kierownikiem konwoju: - "Kogo wyście mi przywieźli? Ja potrzebuję ludzi do pracy a nie trupów!" - Rozpiętość wieku była od lat 14 do ponad 80, a stan zdrowotny straszny. Zaczęła się kwarantanna, bo były wypadki tyfusu brzuszego, czerwoni i tego okropnego głodowego "panosu", czyli biegunki. Były przypadki gruźlicy, nawet w ostatnim stadium, przypadki cukrzycy, róży, choroby serca, kalectwa różnego typu.

W tym obozie w większości byli Polacy, trochę Volksdeustschów, ale mało, trochę Ukraińców. Ci byli uprzywilejowani, chociaż byli wśród nich byli SS-Manni i banderowcy, mający na sumieniu zbrodnie przeciwko Żydom. Byli też Polscy, obywatela amerykańscy, których wojna zaskoczyła w Polsce, gdy przyjechali do rodzin w odwiedziny. I były Rosjanki, które odmieliły się zostać we Lwowie za okupacji niemieckiej. Były ich pięć. Traktowano je o wiele surowiej niż nas. Jedną z nich, Marię Makarinę, chórzystkę opery, zabrał prędko do "tiumny". Stała przed naszym frontem, w czasie speli, w kajdanach na rękach i nogach, złączonych łańcuchem, całkiem jak Walerian Łukasiński za cara, przy ogłoszono werbli. Solidarność obozowa kazała nam stać w milczeniu. Podszedł oficer i pytał - "Zaczon nie piejotie? wied' siwodnia woskriesienje." - A zawsze w niedzielę w czasie speli śpiewaliśmy pieśni nabożne. Ale wtedy była cisza.

Ogłosili, że mają się ujawnić ludzie według zawodu. Zgłosili się kowale, stolarze, kucharki - i co najważniejsze - lekarze i pielęgniarki. Wśród nich był mój wybawca, dr Bronisław Kałmirowicz, który mi po wypadku w kopalni uratował życie. Odnalazłam go i od czasu do czasu pisujemy do siebie, on jest ordynatorem oddziału chirurgicznego w szpitalu w Bielska-Białej. Polscy lekarze stworzyli prawie z niczego lazaret, oddział kobiecy, oddział zakaźny, kasali w kuchni obmurować kotły, żeby nie było wypadków i pełnili dyżury w kuchni, aby czuwać nad higieną. Jedzenie było nędzne, chorowaliśmy z głodu. Ogromna była śmiertelność z powodu tej bieżącej głodowej. M.in. na "panos" zmarła moja mama, już wyleczona z dwóch tyfusów, brzuszny i płamisty. Zmarła również w obozie dr Aleksiewiczowa, dr Kossowski i wielu innych. Nasi lekarze /z wyjątkiem jednego podłego człowieka/ to byli bohaterowie.

Wyżywienie w obozie wyglądało w sposób następujący: trzy razy dziennie puszka po "tuszonce" zupy, ale to była woda, w której pływało trochę kapusty kiszzonej, albo rybie oczy, albo gorzka jak piekun mąka kukurydziana, albo latem liście lebiody i pasenka mięsa, bo kucharki strasznie kradły. Do tego dla pracujących teoretycznie 1 kg chleba dziennie, dla nie-

pracujących 60 dkg, ale mało kto otrzymywał pełną porcję, oszukiwano nas. M.in. kierowniczką kuchni została Volksdeutsche, Hbflingerówna, córka lwowskiego "króla czekolady", która sama mi się chwaliła, że naszkładała sobie smalcu na pół roku. Powiedziała to mnie, wygłodzonej, wyglądającej jak szkielet, przy wadzie 162 cm ważyłam 38 kg. Jak w noccy wożali nas do pomocy w kuchni, to dawali dodatkowe porcje, wtedy mogłam mamie przynieść coś do jedzenia.

W kwietniu /1945 r./ wysłali nas do kopalni, straszliwie przez Niemców zdewastowanej, a przez to bardzo niebezpiecznej. Ja pracowałam w "2 BIS". Mamusię uratowało zaświadczenie lekarskie, ale sa to razem z innymi inwalidami nie dostawała chleba, tylko sucharki, musiałam się z nią dzielić swoją porcją.

Otrzymałam przydział do kiepskiego odcinka /"uczastka"/ kopalni "2 BIS". Jeszcze gorszy odcinek przypadł p. Kulczyńskiej, bo w czasie pracy leżała lub stała w wodzie. U nas dla odniany był metan i po paru salodwie dniach pracy gwarz mi zsiniała i spuchła. Gruzin, lekarz Newradze, pomarował mi twarz jodyną i kazał trzy dni odpoczywać /"oddychać"/.

Wtedy wezwali mnie na przesłuchanie. Na biurku oficera leżały moje dokumenty, m.in. metryka chrztu i świadectwo naturalne z radzieckiej "dziesięciolatki", celujące od góry do dołu - przypatrywali mi się uważnie. - "Ty izmieniła rodzinu!" - "Kakuju rodzinu?" - "Sowietskiju." - Ja pokazuję metrykę i u góry napis: "Res publica Polonia". - "Eto maja rodina, Pol-sza." - mówię. Popatrzył na mnie jak na głupią i powiedział, że muszę odpokutować i okupić grzech wobec ZSRR, a to w ten sposób, że będę donosił na współtowarzyszy. Ja na to: "Nigdy!" Obiecali, że dadzą mi trzy dni do namysłu, a jeśli i wtedy się nie zgodzę, to pójdę do karceru. A trzeba wiedzieć, że karcer to była piwnica pełna wody i szczurów, a porcja chleba wynosiła 10 dkg dziennie. Może bym to i wytrzymała, ale myśl o rozpaczliwej mamusi martwiła mnie bardzo. A w końcu nie byłem taka pewna czy wytrzymam. Zwiarszyłam się z tego tylko p. Kulczyńskiej. Pocieszała mnie, że może oni zapomną. Ja byłem pewna, że nie zapomną. Idąc do kopalni na popołudniową zmianę /trwała zwykle od północy i dłużej/ modliłam się o śmierć albo ciężką chorobę, bo to tylko mogło mnie wybawić z ich szponów albo ocalić od hałby.

Alé w kopalni zupełnie zapomniana o wszystkim. Tu leci na głowę kamień, tam ordynarnie krzyczy "szachtior". Moja funkcja to była tzw. "pletawaja". Przekładala w szynach była sepsuta i ja musiałam na własnych plecach dźwigać wózki pełne węgla & przestawiać je z jednych szyn na drugie, idące w stosunku do tamtych szyn pod kątem prostym. Dodali mi do pomocy "pacana", tj. chłopca 13-15-letniego. Niech nikt nie wierzy, że oni nie zatrudniali pod ziemią dzieci! Ten biedak wykołał wózek, pchnął go tak nieszczęśliwie, że koło wózka przygniotło mi nogę do leżącego stempla drewnianego. Krzyknęłam: "Jezus! Maria! noga, noga!" - Polscy chłopcy podbiegli i odciągnęli wózek. Przyszedł kierownik odcinka z łapami po łokcie czarnymi od węgla i mówi - "Pakaży nogu." - Bałam się zakażenia i nie chciałam pokazać. Wtedy on mówi - "Idi robotati!" Oczywiście nie mogłam pracować, położyłam się na kupie węgla a Polacy na mnie robili. Dobrze się stało właściwie, że mnie nie zabrali do krasnodolskiego szpitala, bo mało kto stamtąd wracał żywy. Spałam. Obudziła mnie gorączka i wołanie: "Barbara! Barbara!" - To było nasze hasło, żeby wychodzić, bo oni często nas przetrzymywali w pracy dłużej, korzystając z tego, że nikt nie miał zegarka.

Nasi współpracownicy to byli przeważnie Ukraińcy ale i Rosjanie. Niektórzy byli całkiem sympatyczni, szczególnie młode dziewczyny. Ale przeważnie odnosili się do nas z nienawiścią. Pewnego razu wracałyśmy z pracy korytarszem w kierunku windy i jechał tramwaj elektryczny z wagonami. My młode byłyśmy chude, więc kiedy nas mijał, wcisnęłyśmy się do jakiejś wnęki i nic się nam nie stało. Ale była z nami starsza kobieta, w wieku mojej mamy, dość tęga. W moich oczach motorowy umyślnie wykołał tramwaj, żeby ją potrącić. Miała złamane trzy żebra. Zabrali ją na noszach do szpitala. Spytałam ich: - "Za co nas tak nienawidzicie? przecież my wam nie złego nie zrobiliśmy." - Na to jeden z nich odpowiedział: "Bo o was się upomni rząd polski, obojętne londyński czy lubelski i cała Europa, a dla nas nie ma ratunku."

Nie podano nam żadnych, nawet fikcyjnych powodów zesłania. Nie wiedzieliśmy za co, dokąd i na jak długo jedziemy. Nikt nie wiedział, gdzie jesteśmy, znikliśmy dla naszych rodzin.

W czasie jazdy, kiedy mijały nas inne pociągi, to oni mówili, że wiozą Niemców. Byłyśmy oburzone i przez szpary w deskach krzyczałyśmy: - "To nieprawda! My Polacy i Polki ze Lwowa!" - Kiedy pociąg nasz ruszał ze Lwowa, to słyszeliśmy zbiorowe wycie tych, co zostawali. My nie płakałyśmy. Wszystkie wagony, bez porozumienia, śpiewały "Robę" i "Mazurka Dąbrowskiego".

Wracam do wypadku. Chłopcy pomogli mi zejść do windy, chlupało mi w guniaku, ale myślałam, że to woda, tam wszędzie woda kapała, ale tym razem była to krew. Przy windzie na górse spotkałam p. Marię Kulczyńską i powiedziałam jej o wypadku. Pani Maria i jej towarzyszki wzięły mnie między siebie i kusztykając na jednej nodze doszłam do żagru. Pijany dyżurny nie chciał nas wpuścić, ale w końcu weszliśmy. Noś, mróz, śnieg. Chłopcy obrabali sople ze studni, żebyśmy mogły choć twarz umyć. Powlokłam się do mamy, ale była już nieprzytomna, nie wiedziałam, że dostała tyfusu. Upadłam razem z drzwiami mojej celi, na których się oparłam. Pani Maria zabrała mnie do lazaretu. Ale dyżur miała Ania, Tatařka, narkomanka. Na nieoczyszczoną ranę położyła okład z chloraminy i kaszała się do celi. Rano była już sina pręga do uda. Pani Maria zaprowadziła mnie znowu do lazaretu. Gruzin Newradse zszuł brudną ranę. Kiedy mu powiedziałam, że tam widać opizki węgla, odpowiedział, że to nie, że wyjdzie z ropą. Rano miałam 41° gorączki. Położyli mnie nie na wspólnych narach, ale osobno, żeby było łatwo robić opatrunki. Pani Maria zawołała lekarzy Polaków: doktora Kaźmirowicza, znanego chirurga, asystenta prof. Adama Grucy, i dr Kostkowskiego. Kaźmirowicza znałam, dawał mi narkozę przy operacji wyrostka. Zrobili mi operację "na żywo", póki wycinali tkankę zgangrenowaną, zupełnie nic nie czułam, ale potem ... Doktor mówi: - "Dziecko! najlepiej, żebyś teraz zemdlała, nie mam przecież żadnych środków znieczulających, a jak drgniesz i przetnę ci nerw, to nie będziesz chodzić." - "A śpiewać mogę?" - "Śpiewaj." - Ja byłam w stanie szoku, śpiewałam i jakoś wytrwiałam. Doktor Kaźmirowicz przychodził dwa razy dziennie, robił mi opatrunki, wnosił miednicę ropy za każdym razem. Drutem do pończoch przepychał sączek przez trzy rany, bo nie miał lepszego narzędzia. Trzymałam za rękę Wandę Wilkoniównę, moją sąsiadkę szpitalną, to jej ręka była sina. Ale nie krzyczałam.



Był taki fason, żeby im nie pokazać, że się cierpi.

Dnia 6 czerwca /1945 r./ umarła moja matka. Mimo to musiałam, o kulach jeszcze, stać na stole. Bo już wyszłam ze szpitala, choć ropa z nogi jeszcze ciekła. Ja się jakoś trzymałam, ale jak śpiewali "Kiedy ranne wstają zorze" i tę zwrotkę "... Wielu snem śmierci pomarki, co się wczoraj spać pokładli ..." - to nie wytrzymałam i pociekły mi łzy. Stał przedemną oficer i pyta, czemu płaczesz? Nie odpowiedziałam, ale wciąż pytał, więc w końcu powiedziałam, że matka moja umarła. A on na to: - "Wot, dura! Ja sowsiem swojej materi nie znał i żywu." - Z kim tu było rozmawiać, przecież to wszystko były wyrzutki społeczeństwa, oni prawie wszyscy byli tam karnie. Ludzki był naczelnik, ten lekarz Newradze.

Naczelnik lekarz przyszedł raz pijany i zaczął nam, "nasob-tiorom" strasznie wymyślać - to było jeszcze w szpitalu. Brutalnie odbandasował mi nogę z flegmoną, którą miałam na szyjnie i na wyciągu. Ropa buchnęła mu na głowę, zaklął i cofnął się. Potem Władzi Wilkoł zaczął "gimnastykować" nogę, którą miała unieruchomioną z powodu wysięku w kolanie, teraz ona się mnie trzymała. A dr Kałmirowicz - nieca mu Bóg zapłaci - przyszedł i wyrzucił naczelnego lekarza za drzwi. To samo zresztą zrobił z moim prześladowcą, który tak chciał ze mnie zrobić donosicielkę - też go wyrzucił za drzwi. Bo ja zresztą byłam autentycznie umierająca. No, ale się wygrzebałam.

Za to Gruzin Newradze był bardzo niedobry dla więźniarek Rosjanek. Była tam taka Natassa, miała krwotoki kobiece - nigdy nie chciał jej zwolnić. Do tego doszło, że nasze kobiety nosiły ją na rękach do kopalni.

To nie byli ludzie. Jak wchodziliśmy do łagru, to zabrali nam wszystko, co cenniejszego jeszcze mieliśmy. Mnie udało się schować dwa pierścionki w obcasie śniegowca. Jeden opłacił mój wyjazd ze Lwowa do Krakowa. Drugi ocenił i sprzedał dr Kossowski, za te pieniądze miała być dokarmiana żywnością przynieszoną z kopalni moja mama, bo dr Waligórski /ojciec satyryka Andrzeja/ tak mi kazał. Ale cóż? leżałam chora i mamusi nie mogłam dopomóc, a obsługująca chorych kobieta kradła ten ryż i masło mamusi i dawała swemu synowi. Zresztą i ona łąn zmarła, ale i moja mamusia zmarła prawie śmiercią głodową.

Wreszcie nadjechali sędziowie z Moskwy, przesłuchiwali nas i spadły wyroki. Mnie zwolniono 15 sierpnia /1945 r./.

Moje zwolnienie nie nastąpiło ze względu na chorobę. Rząd polski już się o nas upominał. Przeczytali mi podanie mojej ciotki w mojej sprawie, a przecież nie mieli żadnych dowodów przeciwko mnie, oprócz donosów. Tam był chłopak z naszej organizacji, ale udawaliśmy, że się nie znamy. Jego złapali z walizką granatów, więc dostał 10 lat. Mnie uniewinniłi.

Pod koniec sierpnia /1945 r./, po katorżniczej podróży, wróciłam do Łwowa, a oni zaraz zaczęli za mną łazić. Tak samo było z dr Kaźnirowiczem i dr Krzaklewskim. Myślę, że ścili-  
li się za to, że ja nie zgodziłam się "zrewanżować" tej Ukra-  
ince, co na mnie doniosła. Nazywała się Sofija Chudoba.

- "Możecie na nią napisać donos, a my teraz ją wysiedziemy." -  
Potrzebowali przecież ludzi do pracy. Na szczęście dyrektor  
mojej dawnej szkoły, s.p. Jan Nieniec, włączył mnie i ciotkę  
szybko do transportu nauczycielskiego i repatriowaliśmy się  
czym prędzej z tego rajcu. Donorcowa i sąsiadki opowiadali  
mi, że nasze rzeczy wywozili do Rosji ciężarówkami.

Przyjechałam do Wrocławia na studia, bo tu rektorem Univer-  
sytetu był mąż p. Kulczyńskiej, też już zwolnionej z Łagru.  
Skończyłam tu studia, filologię klasyczną. Ze strony władz  
polskich w stosunku do mnie nie było żadnych represji. Mnie  
chroniła trochę opieka pp Kulczyńskich. Po dyplomie ostrzeżo-  
no mnie, że filolodzy klasycyści mogą dostać przydział do pra-  
cy w Urzędzie Bezpieczeństwa jako tłumacze w procesach koś-  
cielnych. Jak to usłyszałam, poszłam do rektora Kulczyńskiego  
z płaczem i rzuciłam mu indeks i dyplom na stół. Powiedziałaam,  
że nie po to studiowałam, żeby iść do bezpieki. Zapisał sobie  
coś i powiedział, że bym była spokojna. Poszłam na komisję,  
gdzie dawali przydziały pracy. Wtedy już pracowałam jako dzien-  
nikarz w "Słowie Powszechnym", ale nie było szansy na taki  
przydział. To był 1951 rok. Sekretarz POP Uniwersytetu powie-  
dział, żeby mi dali ten przydział do "Słowa Powszechnego".  
P. Kulczyński z nią to załatwił "przez bufet" i ocalił mnie.  
A teraz byli tacy, którzy mu zarzucali stalinizm. To nieprawda!  
To tyle z czasów stalinowskich.

mgr Janina Nuckowska  
W R O C Ł A W  
ul. Katowicka 28 m.6

Wrocław, dnia 21.10.1989 r.